

DOKOŁA PINGPONGOWEGO STOŁU

Srodek sceny na małej sali warszawskiego „Ateneum” wypełnia ping-pongowy stół. Będzie nie tylko rekwizytem czy elementem scenicznej przestrzeni. Także i ośrodkiem akcji. Nielekko postacią dramatu.

Gra w ping-ponga jest bowiem jedną ze spraw, o które chodzi w sztuce Andrzeja Trzebińskiego „Aby podnieść różę”. Czwooro ludzi zebrało się w hallu wielkiego hotelu. Jest tu mistrz bokserski, znakomity szachista, tajemnicza kobieta, profesor socjologii. Domyślić się wolno, że wypadki uwięziły ich w hotelu. Toczy się walka, słychać strzały. Dla zabicia czasu, a może i uspokojenia nerwów, szachista rozpoczyna z bokserem grę w ping-ponga.

Obaj rozporządzają niezłą formą. Namietność sportowa coraz mocniej ich ogarnia. Stopniowo to, co miało służyć do skrócenia oczekiwania, zaczyna się stawać swoim własnym celem.

Gracze przestają zwracać uwagę na otoczenie, na wszystko, co się dzieje poza oknami; nawet na znajdującą się w ich towarzystwie piękną i kuszącą kobietę. Jest ona może kochanką obserwującego grę socjologa; w każdym razie próbuje go kokietować. Nie bez szans — ale jej to nie wystarcza. Drażni ją namietność gry, całkowicie pochłaniająca ping-pongistów. W jeszcze większym stopniu męczy ją i doprowadza do rozpaczki poczucie zupełnej nierealności tej gry, jej bezcelowości, abstrakcyjności. Posłuszna swym instynktom w pewnej chwili wyrzuca piłeczkę za okno...

Piłki rezerwowej już nie ma. Na ulicę po nią chodzić nie można, tam fruwać kule. Ale socjolog wpada na pomysł niezwykły. Można sobie wyobrazić partię ping-ponga, w czasie której gracze tylko markują ruchy, zmagają się na same pomysły, czy ich parowanie. Na gesty, które szkicują walkę, zamiast ją realizować. Na grę bez piłeczki.

Nagle otwierają się drzwi i wkraczają bojówkarze. Wyrzuconą po-



„Aby podnieść różę” w Teatrze Ateneum w Warszawie. Od lewej: Bohdan Ejmont, Marian Kociniak, Anna Ciepielewska, Ignacy Machowski, Ludwik Pak.

przednio piłeczkę złapały ich patrole. Znak firmowy uznano za sygnał dla nieprzyjaciela. Grę bez piłki skwalifikowano jako podejrzany manewr. Całej czwórce grozi rozstrzelanie jako konspiratorów.

Jest jednak sposób, by dyktatora bojowców, wierzącego w swą wszechumiejętność, wciągnąć do gry. Stanie i on do ping-pongowej walki, zmierzy się z wodzem swych przeciwników politycznych. A gdy ich ogarniać zacznie wszechmożna namietność gry, dwoje tylko ludzi potrafi się z tego wyłamać. Kobieta niezdolna do życia w świecie pozbawionym rozsądku i celowości, a więc znaczenia, popełni samobójstwo — wyskoczy przez to samo okno, przez które na początku sztuki wyrzuciła piłeczkę. Socjolog (jedyne poza kręgiem walki, ale i obcy podniesionemu przeciw niej protestowi) wejdzie w skórę nacjonalistycznego dyktato-

ra, zstąpi na dół, by objąć władzę — a także aby podnieść różę, która wypadła z okna wraz z samobójczynią.

Tak się rysuje treść tej niezwyklej sztuki, napisanej przez 20-letniego poetę, który niebawem miał zginąć. Żołnierz, konspirator, pisarz został przez gestapowców rozstrzelany — ponieważ wydał się podejrzany zanadtem, gdy jadał obiady na nielegalne bony w fabrycznej stołówce. „Aby podnieść różę” to może przeczenie tej śmierci. Ale przede wszystkim — protest przeciw bezcelowości zanarchizowanego świata.

Trzebiński był może czytelnikiem utworów Witkacego. Był także dzieckiem swej epoki. Szaleństwo wojny można wyrazić nieumotywowanym automatyzmem gry.

„Jest zapewne nonsensem wiązać honor narodów z losami piłki, toczącej się po footballowym boisku. Ale stokrotnie większym wariactwem jest powierzać

ten honor armatom i bombom” — powiedział już Sheriff w „Kresie wędrówek”.

„Aby podnieść różę” Trzebińskiego jest utworem znakomicie napisanym. Dialogi mienia się dowcipem, są pełne zaskakujących replik. Inscenizacja „Ateneum” wykazała, ile w tej sztuce materiału dla współczesnego inscenizatora i dla aktorów. Janusz Warmiński, reżyserując, dał szereg świetnych pomysłów. Stół ping-pongowy znakomicie wykorzystał. Namietność gry, stopniowo ogarniająca widzów, wyraża się miarowymi ruchami szybko odwracających się twarzy. W przerwach między scenami aktorzy zastygają, światło się przyciemnia, z daleka słychać jakby pogłos odbijanych ping-pongowych piłek.

Dwaj „championi”, mistrzowie w szachach i boksie, zaczynają grę. Prowadzić dowcipny dialog, wykonując równocześnie ruchy właściwe grze w stolowego tenisa — to synchronizacja wymagająca od aktorów nie-małego wysiłku i technicznej sprawności. Bohdan Ejmont i Marian Kociniak wirtuozowsko się z tych zadań wywiązują, zwinni, inteligentni, dowcipni.

Ludwik Pak jest adiutantem dyktatora faszystowskiego, jego prawą ręką; Roman Wilhelmi jego wodzem. Musi podobnie działać i mówić, jak tamten. A jednak aktorzy dokonali sztuki niemałej: są zróżnicowani — nawet w swych podobieństwach.

Anna Ciepielewska przebiega finem rozległą skalę odruchów kobiecych — od kokieteryjnych uśmiechów do drwiny i protestu. Ignacy Machowski konsekwentnie ukazuje podstępne działanie profesora socjologii. W epizodach (windziarza oraz adiutanta „cywilnych”) ładne akcenty mają: Jan Kociniak i Henryk Łapiński.

Myślę, że ta sztuka powinna pozostać w stałym repertuarze naszych teatrów. Podobnie, jak „Homer i Orchidea” Gajcy'ego.

WOJCIECH NATANSON